

KONKURS LITERACKI

PROZA

Spojrzenie

Uwielbiam ulice wielkich miast. Są jak krwiobiegi metropolii. Nie przypadkiem nazywa się je czasem arteriami. Nadają życiu miasta rytm, wybijają jego tętno. Zawsze z uwagą obserwuję szerokie dwupasmówki, po których z rykiem silników suną auta różnych marek i o różnych kolorach karoserii, by karnie zatrzymać się przed czerwonym światłem, a potem - ledwie pojawi się pomarańczowe - wyć, katując silnik najwyższymi obrotami i przy zielonym skoczyć do przodu, wyrwać przed innymi, również przekonanymi, że wszystkich wyprzedzili na starcie.

Tramwaje płynące po szynach i dzwoniące na przystankach wydają mi się metalowymi smokami: pochłaniają ludzi, by za jakiś czas pozwolić im uciec ze swojego wnętrza. Lubię patrzeć na tłum ludzi przelewający się chodnikami, placami, wlewający się do przejść podziemnych, aby kolorową lawą wychynąć na powierzchnię po drugiej stronie ulicy. Wsłuchuję się w gwar, wyłapując strzępy niezrozumiałych dla mnie rozmów.

A wąskie uliczki starówek? Jakie one są piękne! Prowadzą wzdłuż ceglanych murów, wybrukowane kamieniami oszlifowanymi przez tysiące butów i setki lat dają złudne wrażenie, że czas się zatrzymał. Kiedy idę tymi wąskimi przesmykami, kiedy spoglądam na ściany, na które patrzyli kupcy, damy, żebracy, dworzanie, niemal słyszę ich rozmowy, śmiech, krzyki, nawoływania.

O atmosferze wielkiego miasta myślałam, jadąc pociągiem do Gdańska. Jednocześnie cieszyłam się na czekające mnie spotkanie z Gabrysią. Gabrysia była moją koleżanką. Poznałyśmy się trzy lata temu na koloniach w Karpaczu i od tej pory przyjaźniłyśmy się. Dzwoniłyśmy do siebie niemal codziennie, a w wakacje i ferie odwiedzałyśmy się w swoich domach. Dlatego siedziałam w pociągu już siódmą godzinę, wyglądając z niecierpliwością dworca w Gdańsku. W przedziale było duszno, za oknem słońce prażyło. Moi współpasażerowie wypijali litry wody i natychmiast oblewali się potem. Podróż dłużyła mi się okropnie, ale na szczęście Gabi dzwoniła co jakiś czas, wypytując, kiedy dojadę i opowiadając o czekających mnie atrakcjach.

Nareszcie pociąg wtoczył się na peron. Było kilka minut po czternastej. Nad wejściem do budynku dworca umieszczono wielki napis: „GDAŃSK GŁÓWNY”. Wszystko wokół było takie duże. Peron, wieża z zegarem przytłaczały swoją wielkością. Oddalając się od pociągu w poszukiwaniu mojej przyjaciółki, próbowałam przecisnąć się przez tłum ludzi, którzy pędzili w jednym kierunku - do przejścia podziemnego. Stałam z boku i rozejrzałam się - w oddali dostrzegłam znajomą sylwetkę. Z piskiem radości, uśmiechnięta biegła w moim kierunku. Przerzuciłam przez ramię swój plecak i ruszyłam w jej stronę. Biec nie mogłam, bo i tak co chwilę wpadałam na ludzi. Przywitałyśmy się serdecznie. Gabi zasypała mnie pytaniami o moje koleżanki, które poznała, gdy mnie odwiedziła. Ja też byłam ciekawa, co słychać u jej znajomych, którzy od jakiegoś czasu byli moimi znajomymi. Podeszłyśmy do jej rodziców i przywitałam się. Z uśmiechem zaprowadzili nas na parking i samochodem zawieźli do domu.

Dom Gabrysi był piętrowy i znajdował się na pełnym zieleni osiedlu. Wzdłuż ulicy stały budynki bardzo do siebie podobne, otoczone ogródkami i metalowymi ogrodzeniami. Jezdnią co jakiś czas niespiesznie przejeżdżał samochód, chodniki były puste. Na wypalonym słońcem niebie krzyczała mewa. Najwyraźniej w tej okolicy w tak upalny dzień nikomu nie chciało się wychodzić z domu i spacerować.

Tata Gabrysi wziął mój plecak i zatrzasnął drzwi bagażnika, mama gestem zaprosiła wszystkich do domu. Wewnątrz było przyjemnie i chłodno. Na powitanie wybiegł nam kudłaty york, który wabił się Tosia. Popiskując radośnie, oznajmiał swoją miłość do domowników i gościa oraz dopominał się pieszczot.

KONKURS LITERACKI

PROZA

Gabi pokazała mi mój pokój na górze. Okna wychodziły na dachy sąsiednich budynków. Pomogła mi w rozpakowaniu bagażu, trochę się odświeżyłam i zeszliśmy na obiad. Byłam bardzo głodna, a zapach smażonej ryby i frytek sprawił, że nie mogłam myśleć o niczym innym jak tylko o jedzeniu. Obiad był pyszny. Mama Gabrysi chciała, żebym trochę odpoczęła, ale marzyłam już tylko o jednym: chciałam zwiedzać Gdańsk, przejść się jego ulicami, zatopić w tłumie, popatrzeć na błękitne niebo, dotknąć ciepłych ścian budynków, wsłuchać w bicie serca tego wielkiego miasta.

Pobiegliśmy na przystanek autobusowy. Nie czekałyśmy długo. Po kilku minutach podjechał autobus. Jego wnętrze było rozgrzane i duszne, ale nie miałyśmy wyboru, jeśli chciałyśmy znaleźć się dość szybko w centrum. Pojazd sapiąc jak wielkie zmęczone zwierzę, ruszył jezdnią, której powierzchnia zdawała się być półpłynna. Gabi wesoło opowiadała o swojej koleżance z ławki, a ja o swojej. Jednocześnie starałam się patrzeć na zmieniający się za szybą krajobraz. Cieszyła mnie ta jazda w upale, widoki zza okien. Z daleka widziałam latarnię morską i stocznnię. I kawałek błękitu mieniącego się w słońcu jak rybia łuska.

Wysiadłyśmy na przystanku przy dwupasmówce obok Starego Miasta. Przeszłyśmy kilkadziesiąt metrów i już byłyśmy wśród wąskich i wysokich kamieniczek, już stąpałyśmy po ulicznym bruku, a obok mijali nas kolorowo ubrani ludzie, beztroscy i uśmiechnięci. Ludzie grupami mniejszymi i większymi, parami, rodzinnie i pojedynczo powoli przemieszczali się ulicą w kierunku Kościoła Mariackiego rozleniwieni ciepłym, letnim popołudniem. Zewsząd dobiegały nas rozmowy w różnych językach. Mijałyśmy turystów mówiących po angielsku i niemiecku, obok przeszło troje zaaferowanych czymś Francuzów, na tle czerwonej cegły kościoła fotografowali się Japończycy, a potem Rosjanie. Istna wieża Babel.

Jakaś kobieta - chyba Włoszka - poprosiła nas, żebyśmy zrobiły zdjęcie jej i stojącemu obok mężczyźnie, chyba jej mężowi.

- Grazie - uśmiechnęła się, gdy oddałam jej aparat.

Weszłyśmy do Kościoła Mariackiego. Chłodne wnętrze dawało chwilę wytchnienia. Olbrzymia przestrzeń i dostojność gotyku sprawiły, że nie chciało nam się wychodzić na rozpaloną słońcem ulicę. Gabi opowiedziała mi historię obrazu „Sąd Ostateczny” Hansa Memlinga, którego kopia znajdowała się w bocznej kaplicy. Wysłuchałam z ciekawością. Przyglądałam się postaciom po lewej stronie wstępującym po kryształowych schodach do nieba i po prawej pochłanianym przez ogień piekielny. Przez chwilę zastanawiam się nad problemem dobra i zła. Czym są te dwa pojęcia we współczesnym świecie? Ile znaczą dla współczesnego człowieka? Czy dziś potrafimy postawić wyraźną granicę pomiędzy tymi dwoma wartościami, skoro (poza jakimiś ewidentnymi przykładami pokazywanymi w telewizyjnych reportażach) wszystko jest względne, płynne, labilne? Łagodny chłód starego kościoła sprzyja stawianiu przed sobą moralnych dylematów, ale wakacyjna atmosfera nie pozwala zbyt długo się nad nimi zatrzymywać.

Gdy znów znalazłyśmy się w ulicznym tłumie, kupiłyśmy sobie lody. Jadłyśmy przez chwilę w milczeniu, ciesząc się po prostu swoją obecnością. Ruszyłyśmy w stronę Żurawia. Barwny tłum turystów obchodził nieustającą fiestę. Neptun ze wzniesionym trójzębem budził zainteresowanie zwiedzających miasto. Oblegali go ściśle. Niedaleko fontanny dostrzegłam mima przebranego za śmierć. Stał w białym prześcieradle, twarz i dłonie miał pokryte białą substancją. W jednej dłoni trzymał kosę, w drugiej dzwonek. Przed nim na bruku leżał biały kapelusz. Co jakiś czas potrząsał dzwonkiem, zwracając na siebie uwagę turystów. Wtedy wrzucali mu do kapelusza drobne monety, a mim kłaniał się dostojnie. Dalej grupa młodych mężczyzn ubranych w poncza grała i śpiewała tęskne piosenki w nieznanym mi języku. Mijamy rysownika, który w kilka minut przygotowuje karykaturę pozującego turysty i malarza strzegącego swoich płócien przedstawiających polne kwiaty w wazonie, leśną drogę w trzech wariantach (dziennym, nocnym i zimowym), chatę wśród wzgórz i żaglowiec na wzburzonej morzu. Podchodzimy w końcu do

KONKURS LITERACKI

PROZA

Żurawia. Oglądamy drewniane i metalowe elementy, grube liny. Potem spacerujemy wzdłuż Motławy. Prowadzimy typową rozmowę nastolatek, skaczemy beztrzesko z tematu na temat. Nadchodzi wieczór. Jest nadal ciepło. Dopiero teraz zaczynam odczuwać zmęczenie. Tyle godzin w pociągu, spotkanie z Gabrysią i jej rodzicami, długi spacer po Gdańsku... Decydujemy się wrócić do domu.

Tłum też się przerzedził. Ludzi na ulicy jest mniej, większość pewnie usiadła przy kawiarnianych stolikach. Artysta malarz zbiera swoje płótna. Karykaturzysta negocjuje cenę z klientem. Młodzi mężczyźni grają na gitarach, a jeden z nich śpiewa. Mijamy mima. Chyba też ma ochotę się zbierać do domu. Ocie-
ra pot, który wystąpił mu na białej charakterystyce. Na rynku życie będzie tętniło do późnej nocy. Jedni zabiorą się stąd zaraz na wieczorny odpoczynek, ale zastąpią ich inni - handlujący podświetlanymi samolocikami i kolorowymi latareczkami.

Idziemy na przystanek. Powoli zapada zmrok. Czekamy na autobus, obok nas kilka osób. Myślami już jestem w łóżku. Nagle tuż za wysepką dla autobusów gwałtownie zatrzymuje się auto. Otwierają się drzwi i zostaje przez nie wypchnięty pies. Kundel. Brązowa sierść na brzuchu i czarna na grzbiecie. Średniej wielkości. Pies upada na bok i przez sekundę wydaje się oszołomiony, ale natychmiast zrywa się do szalonego pościgu, bo auto rusza gwałtownie. Pies goni długą chwilę uciekający samochód. Nie ma żadnych szans. Szczeka głośno i rozpaczliwie. Inni kierowcy mijają go litościwie. Zawraca. Biegnie truchtem z nosem przy ziemi. Wskakuje na chodnik. Próbuje odszukać ślad właściciela. Podbiega do miejsca, gdzie go wyrzucono. Kręci się w koło. Wącha. Siada i patrzy w kierunku, w którym odjechało auto. Nasłuchuje. Podnosi się. Siada. Znowu podnosi się i wącha. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Ludzie zajęci swoimi sprawami rozmawiają na przystanku, śmieją się, ktoś przegląda w aparacie zrobione przez cały dzień zdjęcia.

Nadjeżdża autobus. Wsiadamy. Patrzą jeszcze przez chwilę, jak kręci się zdezorientowany, jak nasłuchuje jakby czekał na znajome gwizdnięcie. Przez moment nasze spojrzenia się krzyżują. Oczy człowieka i pełne rozpaczycy oczy zwierzęcia. Autobus rusza z przystanku, pies zostaje za oknem i po chwili znika przesłonięty mijającymi nas samochodami. Jakby nigdy go nie było...

Gabi opowiada o zabawnej sytuacji, która miała miejsce w ich klasie pod koniec roku. Chodziło chyba o jakąś pomyłkę dotyczącą jej koleżanek, które są bliźniaczkami. Nie słucham uważnie. Mówię o tym, co zaobserwowałam przed chwilą.

- Ludzie są okrutni - podsumowuje Gabi, ale z jej tonu wnioskuję, że nie zauważyła całej sytuacji i pewnie dlatego nie wzbudziła w niej zainteresowania.

Dojeżdżamy do domu, gdy już na osiedlu palą się latarnie. Rodzice Gabi pytają o wrażenia ze spaceru. Jestem zmęczona. Kładę się spać, ale długo nie mogę zasnąć. Przez następne dni będziemy opalać się na plaży, wejdziemy na łatanie morską i zwiedzimy jakieś muzeum.

Przyznam, że niewiele z tego zapamiętałam. Najsilniejszym wspomnieniem pozostanie spojrzenie porzuconego psa, wypchniętego z samochodu przez pana, który znudził się zwierzęciem. Może nie pasował mu do nowych mebli? Albo zestarzał się i nie był już tak zabawny jak szczeniak? Spojrzenie niechcianego psa na ulicy - znak bezgranicznej samotności, bezradności i rozpaczycy...

Wracając kilka dni później pociągiem do domu, myślałam, że ulice wielkich miast fascynują, bo są symbolami cywilizacji, nowoczesności i urbanizacji. Rozświetlone nocą reklamami i reflektorami potrafią być piękne, ale w dzień przytłaczają pośpiechem i hałasem. Na nich toczy się nasze życie. To tu przechadza się samotność - nie widać jej w tłumie, podobnie zresztą jak obojętności na cudze cierpienie. To tu śmiech i beztrzeska mieszają się ze smutkiem współczesnego człowieka. A dobro i zło - choć ukryte za pośpiechem codzienności - oddziela wyraźna granica, jak stąpających po kryształowych schodach i płonących w piekle na obrazie Memlinga albo jak bohaterów średniowiecznego moralitetu.. Trzeba tylko chcieć ją zobaczyć.